



Sylvia Trojanowska

Wzgórze
Świątecznych
Życzeń



Wybierz się w magiczną podróż
i spełnij swoje marzenia.

Sylvia Trojanowska

Wzgórze
Świątecznych
Życzeń



Copyright © 2025 by Sylwia Trojanowska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Malwina Kozłowska

KOREKTA: Małgorzata Kłosowicz

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

WYDANIE II

ISBN PRINT: 978-83-8412-323-2

EAN: 9788384123232

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-324-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

*Dla niesamowitych Knucicielek,
które są ze mną na dobre i złe.
Oraz dla Moich Chłopców, za wszystko.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

NIEMAL CZTERY TYGODNIE DO
WIGILII

*Wszystko białe dookoła,
Jak piękny sen.
W jedną noc tak zmian dokonał
Puszysty śnieg.*

*Przykrył cały szary świat,
Przykrył to, co boli nas,
Przykrył ślady naszych łez
Pięknie jest.*

Tak jak śnieg
Wykonanie: Kasia Stankiewicz,
Kuba Badach, Mietek Szcześniak

LILA

Lila obudziła się przed piątą rano. Podeszła do okna, jak zwykle to robić każdego dnia, podniosła rolety i... znieruchomiała, bo jej oczom ukazał się świat, o jakim marzyła od kilku tygodni. Całą ulicę otulał puszysty śnieg, a jego drobiny skrzyły się w światłach latarni. Było białe, bielusieńko.

Otworzyła szeroko okno. Poczuła przeszywający chłód i... uśmiechnęła się.

„Nareszcie” – westchnęła w myślach.

Zgarnęła z parapetu trochę śniegu i podrzuciła go na dłoni. Lekkie płatki opadły na jej twarz, włosy i ramiona niczym konfetti. O tak, ogromnie za tym tęskniła.

Stała tak przez minutę, napawając się widokiem i przenikliwym, ale jakże przyjemnym chłodem, po czym zebrała się, zamknęła okno i zbiegła na parter. W jej głowie rozbrzmiewała tylko jedna myśl: „Trening na śniegu!”.

Lila od małego oswajała się z nartami. Jej ojciec był ich wielkim pasjonatem i to on zaszczepił w niej miłość do biegówek. Paweł Dębski zabierał córkę na każdy wypad, nawet jeśli żona patrzyła na to krzywo. Bo za trudny, za długi, za męczący – tak mówiła. A dla niego zawsze był w sam raz. Na początku wiadomo – Lila spędzała większość czasu w specjalnym nosidełku, które Dębski mocował sobie na plecach, ale kiedy już samodzielnie utrzymywała się na

nartach, stworzył z córką swoisty tandem. Wyglądali przezabawnie: wysoki, barczysty mężczyzna i kruszyna niezdarnie podążająca jego śladem. W swoich naukach Paweł Dębski wykazywał się cierpliwością, co sprawiło, że dziewczynka szybko przestała być małą, niezdarną kluską i w mig pojęła, o co chodzi w bieganiu na nartach. Pomagały jej w tym ambicja i waleczność. Na początku płakała przy każdym upadku, ale z czasem zahartowała się i tylko z rzadka pociągała noskiem. Zaciskając ze złości usteczka, wstawiała, otrzepywała się ze śniegu i jechała dalej. Chciała dorównać ojcu, którego kochała nade wszystko.

– Jak będę trochę starsza, to cię przegonię! – mawiała, zadzierając dumnie brodę.

– Nigdy w życiu! Nie dam ci się wyprzedzić – odpowiadał, prowokując ją do jeszcze bardziej wyteżonej pracy. Wiedział, że to działało na nią najlepiej.

Paweł Dębski nie krył dumy ze swojej córki i z jej biegowej pasji, z każdym rokiem coraz większej. Głęboko wierzył, że pewnego dnia wystartują razem w Biegu Piastów, a potem może i w Biegu Wazów, który uważał za szczyt osiągnięć. Widział w Lili sportowca, który stanie na najwyższym stopniu podium, będzie olimpijczykiem i osiągnie to, czego on nie zdołał.

– Lilek zwycięzca! – mówił do niej często, a ona śmiała się i tryumfalnie unosiła zaciśniętą pięść.

Paweł Dębski kochał córkę miłością niespotykaną. Czasami ludzie mówią o kimś, że jest czyimś oczkiem w głowie. Lila była nim właśnie dla taty. Gdyby nie ten parszywy wypadek sprzed trzech lat, który wszystko zmienił i go zabrał... Gdyby nie on...



Lila była świetnie zorganizowana i nie lubiła marnować czasu. Czuła się odpowiedzialna za swoich braci, ośmioletnich bliźniaków Franka i Nikosia.

Niemal codziennie przygotowywała śniadanie dla siebie, mamy i rodzeństwa. Odkąd zabrakło taty, przejęła jego rolę, bo czuła, że dla mamy miało to symboliczne, bardzo wymowne znaczenie. Dla niej samej też było ważne, bo robiła coś, czym kiedyś zajmował się jej ukochany tata.



Dochodziła szósta, kiedy gotowa do wyjścia stała w korytarzu.

– Ty już? – powitała ją mama.

Barbara Dębska szybko zawiązała szlafrok i przyglądała włosy, które po nocy pozostawały w lekkim nieładzie. Była szczupła i wysoka – i choć nie miała na sobie krzty makijażu, wyglądała pięknie. Właściwie nigdy mocno się nie malowała; nie musiała, bo długie, ciemne rzęsy, duże i czarne niczym węgiel oczy, nieskazitelna cera i wydatne usta były darem, z którym się urodziła i który od zawsze wywoływał zazdrość u jej rówieśnic. U starszych koleżanek zresztą również.

– Lilek, wykończysz się tymi treningami – powiedziała dobrotliwie.

Dziewczyna podeszła do mamy i cmoknęła ją w policzek.

– Nie ma takiej możliwości! Poza tym dziś mam trening marzenie. Spadł niezły śnieg!

– Tak, widziałam. I pomyślałam, że się ucieszysz.

– Ucieszę? To spełnienie marzeń! W końcu mogę trenować tak, jak powinnam, na śniegu, a nie jakiejś brei, z której każą nam się cieszyć.

Barbara Dębska z czułością dotknęła policzka córki.

– Leć, Lilek, leć! Jesteś taka sama jak on...

Lila pokiwała głową i poprawiła długi, gruby blond warkocz.

– Kanapki zrobiłam! – zawołała, wkładając buty, po czym trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

DOMICELA

Każdego poranka piła podwójne espresso. Stawiało ją na nogi, pozwalało myśleć jaśniej – a przede wszystkim zgodnie z planem. Bo Domicela praktycznie niczego nie robiła bez planu. Zajęcia na każdy dzień drobiazgowo rozpisywała w kalendarzu. Wieczorem zaś, podsumowując mijającą dobę, z satysfakcją odhaczała z listy to, co udało jej się zrealizować, a pozostałe zadania przekładała na następny dzień.

– Spadł śnieg! – zawołała z kuchni w kierunku piętra. – Słyszysz, Bogumił? Śnieg mamy!

– Przecież był już wczoraj – padła odpowiedź z garderoby.

– Czy ty rano naprawdę nigdy nie patrzysz przez okno? – Domicela nie kryła niezadowolenia. – Bogumił! W nocy była śnieżycą i na moje oko – zerknęła raz jeszcze przez okno i cmoknęła – z pół metra tego czegoś, tego śniegu mamy. Cholera jasna! To będzie sądny dzień!

Bogumił mruknął coś twierdząco, zszedł na parter i usiadł przy stole. Sięgnął po rogalika, którego uszykowała mu żona.

– Śnieg wcale nie oznacza tragedii – powiedział już z pełnymi ustami. – Poza tym mieszkamy w górach. I biała zima to oczywista oczywistość.

– Te twoje filozoficzne wynurzenia! A ja ci powtarzam, że śnieg to same problemy.

Bogumił nie zamierzał wchodzić w dyskusję z żoną. I tak nic by nie ugrał. Wolał w spokoju zjeść śniadanie, więc zamiast zripostować zapytał bezpiecznie:

– Jakie masz plany na dzisiaj?

Potem już tylko potakiwał, kiedy ze szczegółami streszczała mu agendę dnia. Czasami jeszcze pomrukiwał, bo wiedział, że ona to lubiła. Dogadywali się idealnie, na swój sposób. Mieli własny język i swoje poczucie humoru.

– To uważaj dziś na siebie, Bogumił – powiedziała Domicela, poprawiając włosy w korytarzu: burzę rudych loków, które napawały ją dumą. – Ty taki niezdarny potrafisz być, a dziś ślizgawica murowana. Może zamiast mokasynów założyłbyś te buty z grubym bieżnikiem? W pracy byś się przebrał.

Bogumił machnął ręką.

– Jeszcze nigdy nic mi się nie stało, ale miło, że się martwisz. – Uśmiechnął się pocziwie w jej kierunku i dodał: – No i oczywiście pięknie wyglądasz, kochanie.

– Tylko nie zapomnij odśnieżyć, jak wrócisz! Żeby nie musiała się przez te zasy przebijać w moich szpileczkach!

– Nie zapomnę.



Domicela Kawka prowadziła pięć butików i w żadnym z nich nigdy sama nie sprzedawała, ale do każdego zaglądała regularnie i o każdym stałym kliencie wiedziała niemal wszystko. To był jej świat. Kiedy piętnaście lat temu otwierała pierwszy, czuła, że na

jednym nie skończy. I sprawdziło się, bo w ciągu następnej dekady miała już cztery kolejne.

Sklepy okazały się strzałem w dziesiątkę; zarobiła na nich spore pieniądze, które zamiast odkładać na procent w banku, inwestowała w nieruchomości. W ten sposób stała się posiadaczką dwóch kamienic w samym sercu Świeradowa-Zdroju, przy deptaku. Jedną z nich pieczołowicie odrestaurowała, a na jej parterze uruchomiła żłobek, zyskując coś, czego nie planowała, ale co ogromnie jej schlebiało – uznanie społeczeństwa i tytuł „Kobiety Sukcesu”, nadawany przez mieszkanki powiatu.

Z dumą przyjęła to wyróżnienie, również dlatego, że stanowiło bilet wstępu do elitarnej grupy lokalnych przedsiębiorczyń, a w wielkim skrócie oznaczało prestiżowe imprezy i charytatywne bale, a na udziale w nich zawsze jej zależało.



Tamtego dnia planowała objazd swoich butików. Wsiadła do samochodu i włączyła radio, po czym powoli ruszyła przed siebie. Kuba Badach śpiewał akurat o tym, jak piękny jest świat przykryty śniegiem. Domicela rzuciła okiem na wyświetlacz i uniosła brwi.

– Ta! Jasne! Śnieg to samo dobro! Co ty możesz o tym wiedzieć, człowieku, jak siedzisz sobie w ciepłym studiu nagrań! Przyjedź do nas! Tu trwa wojna!

W tym samym momencie drogę przebiegł jej jakiś psiak. Zahamowawszy w ostatniej chwili, wpadła w poślizg i lekko zniosło ją z drogi.

– A nie mówiłam?! – burknęła. – Wojna.

Już zupełnie bezpieczna, zaparkowała na tyłach deptaku, tuż za kamienicą z numerem dwanaście, i udała się do butiku „Gabriela”. Na co dzień chodziła energicznie, tym razem jednak drobila kroki, bo szpilki, z których nie rezygnowała nawet przy najbardziej beznadziejnej aurze, nie pozwalały na nic innego. W drzwiach minęła się z klientką, na jej oko kuracjuszką. Uprzejmie ją powitała i weszła do środka.

– Dzień dobry, Barbaro! – powiedziała bardzo oficjalnie, co najmniej jakby zwracała się do kogoś, z kim nie łączyły jej żadne ciepłe stosunki, a już na pewno nie więzy krwi.

Kobieta za ladą uśmiechnęła się oszczędnie i podeszła do siostry.

– Witaj, Domicelo. Dobrze cię widzieć.

Barbara Dębska pracowała w butiku od ponad dwóch lat. Lubiała to miejsce, a do wykonywania obowiązków podchodziła z dużym zaangażowaniem. Starła się, by każda klientka opuszczała sklep zadowolona, a potem wracała na zakupy. Z tym ostatnim bywało różnie, bo najczęściej obsługiwała turystki, które przyjeżdżały do uzdrowiska na weekend, tydzień, najwyżej miesiąc.

Domicela rozpięła swój ulubiony biały płaszcz od Chanel, który przywiozła z wojaży po Francji, i rozejrzała się, sprawdzając, czy w sklepie nikogo nie ma. Potem przeszła za ladę i ciężko opadła na stółek.

– Cholerny dzień! Śnieg, zasy, a tu tyle jeżdżenia od samego rana! Na co komu śnieg?

– Daj spokój. Dobrze, że w końcu spadł. Turyści na to czekają, nasze dzieci także.

Domicela uniosła brwi, jakby stwierdzenie siostry ją zdziwiło.

– Może i tak, ale aż tyle śniegu nikomu nie jest potrzebne. Zobaczysz, ci turyści zamiast w góry, do szpitala trafią, bo się połamia.

– Nie bądź fatalistką. Ludzie dadzą sobie radę. Kiedyś śniegi były częstsze i większe.

Domicela już chciała zripostować, ale przeszkodził jej dźwięk telefonu. Spojrzała na wyświetlacz i z chmurną miną odebrała.

– No nareszcie! Myślałam, że się nie doczekam! – Nagle wyraz jej twarzy diametralnie się zmienił. – Ale... Jak to nie ma? Co to znaczy nie ma?! – zagrzmiała. – To niech pan zrobi tak, żeby był, bo jeśli mam czekać kolejny tydzień, to rezygnuję w ogóle! Rozumie pan?!

Basia szybko podeszła do najbliższego regału i zaczęła porządkować podkoszulki, choć te były równo ułożone. Wolała zająć ręce jakąś prostą czynnością, byle tylko zejść siostrze z oczu. Domicela zawsze była wybuchowa i chętnie ustawiała wszystkim życie. I dobrze jej to wychodziło. Tyle że sukcesy w rządzeniu nie przekładały się na sukcesy towarzyskie. Wręcz przeciwnie, Domicela nie była szczególnie lubiana, a jeśli ktoś z nią trzymał, to tylko dlatego, że się jej bał, miał ku temu interes, przyzwyczał się do jej temperamentu albo należał do rodziny. Jak Barbara.

– Wyobraź sobie – po skończonej rozmowie Domicela zwróciła się do siostry – że dostawa z Francji będzie najwcześniej za dwa dni! A miała być tydzień temu! Czy to taki wielki problem, aby załadować ciężarówkę i przyjechać nią do Polski? Przecież Świeradów to nie koniec świata, a środek Europy!

– Nie denerwuj się – próbowała załagodzić Basia. – Mamy co sprzedawać.

– Pewnie, że mamy! – Domicela nie schodziła z wysokiego tonu.
– Doskonale o tym wiem, bo sama zajmuję się zamówieniami! Siedzę w biznesie od lat i znam się na tym jak mało kto. Ale wiem, że możemy mieć dużo ciekawszy asortyment niż te wszystkie pseudobutiki, które nic innego nie robią, tylko nas kopiują.

Barbara ledwo zauważalnie pokiwała głową. Domicela sięgnęła po katalog i już nieco spokojniej zaczęła opowiadać o planach zakupowych. Na koniec wstała i rozejrzała się po sklepie, po czym zasugerowała Barbarze inną ekspozycję bawełnianych koszul i pasków.

– Ile dziś było klientek?

– Jedna. Mijałaś ją w wejściu. Wzięła czapkę i rękawiczki – odparła z dumą Basia.

Domicela parsknęła i wycelowała palcem w stronę ulicy.

– Czapkę i rękawiczki! Masz ten swój śnieg! Ludziom nawet do mojego butiku nie chce się przyjść, bo przez zasy musieliby się przebijać. Ja ci mówię, Baśka, ty się módl, żeby on jak najszybciej stopniał, bo jak nie, to ze świątecznej premii będą nici.

Jej siostra jednak nie zamierzała się o to modlić. Wiedziała, że dla klientów śnieg nie stanowi szczególnej przeszkody. Zjawia się, mocno w to wierzyła. A śnieg? Uwielbiała go, bo przywodził jej na myśl najlepsze wspomnienia. Przede wszystkim te o Pawle. O jej ukochanym Pawle...



Poznała go, kiedy była na studiach. Po zimowej sesji przyjechały z koleżankami na zawody narciarskie do Jakuszy. Robiły tak zawsze,

kiedy nadarzała się okazja. Były zagorzałymi kibickami i traktowały takie imprezy jak szansę na dobrą rozrywkę, a czasami i na... podryw.

Na Polanie Jakuszyckiej było wówczas tłoczno i głośno. Spiker co chwila przekazywał komunikaty, muzyka grała, a ludzie przeciskali się, żeby lepiej widzieć startujących zawodników. Gdy ujrzała Pawła, oczu nie mogła od niego oderwać. To było coś dziwnego. Pierwszy raz tak miała. Zazwyczaj to mężczyźni wpatrywali się w nią, to oni wlepiali w nią spojrzenia. Kiedy Paweł wystartował, szybko przeszła na inny odcinek trasy, stanęła obok niewielkiej grupy kibiców i czekała na moment, w którym będzie ją mijał. Chciała, by ją zauważył. Gdy ujrzała jego charakterystyczną pomarańczową czapkę, zaczęła klaskać z entuzjazmem, podskakiwać, wyginać się, aż w pewnym momencie, a dokładnie wtedy, gdy Paweł Dębski zbliżał się do niej, wywinęła orła i legła jak długa na biegowych torach. Mężczyzna natychmiast zrobił unik, ale był tak rozpędzony, że wyjechał poza trasę, wpadł w rów, złamał nartę, nogę i... Basine serce. Na początku był na nią zły, wściekły nawet, bo pokrzyżowała mu plany. Ale już w szpitalu, kiedy wpadała do niego w odwiedziny, złość przerodziła się w miłość. Szczęśliwie dla obojga – bo choć nie dane im było dożyć wspólnie późnej starości, lata spędzone razem okazały się po prostu dobre.

KSAWERY

Ksawery rzadko bywał na świeradowskim deptaku, a przed świętami Bożego Narodzenia w ogóle tam nie zachodził. Nie lubił świątecznych tłumów, pośpiesznych zakupów przy dźwiękach kolęd i tych wszystkich przesadnie błyszczących witryn. Tamtego dnia miał jednak do załatwienia kilka spraw, w tym jedną w kancelarii prawnej. Akurat mijał lokalny butik, kiedy w witrynie dostrzegł Barbarę Dębską. Zamyślona, spoglądała w dal. Wcześniej nie planował do niej zaglądać, ale to był odruch i... po prostu złapał za klamkę.

– Dzień dobry, Basiu – przywitał się, wyrywając ją z zamyślenia.

Nieco zmieszana, skinęła głową.

– Dzień dobry. Co tu robisz, Ksawery? Szukasz czegoś na prezent?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Przechodziłem, bo... Mam spotkanie w kancelarii i... – tłumaczył się chaotycznie. – I wszedłem, a skoro już jestem... – Rozejrzał się. – Zbliżają się święta. Może byś mi poleciła coś dla córki?

– Dla Poli? – ucieszyła się.

– Tak. Zupełnie nie mam pomysłu, co powinienem jej kupić – skłamał, bo zdążył już zamówić nowy model telefonu komórkowego.

– Ma już trzynaście lat! Uwierzysz?

– Lila skończyła osiemnaście, więc tak, uwierzę. – Basia uśmiechnęła się dziewczęco i Ksawery na nieco za długą chwilę utkwiał w niej wzrok.

Wyglądała jak dawna Baśka, z którą kiedyś łączyło go coś więcej niż szkolna ławka.

– Sweter? T-shirt? Pasek? – pytała.

– Nie najlepiej się znam na tych – zrobił zakłopotaną minę – dziewczęcych sprawach. Jak myślisz? Co by się Poli spodobało?

Basia bez namysłu podeszła do regału z T-shirtami.

– Wybrałabym jedną z tych koszulek. Są teraz bardzo modne. Mają połyskujące napisy, które podobają się dziewczynom, tym w wieku Poli i starszym. Moja Lila też sobie jedną upatrzyła. – Poglądziła różową koszulkę z napisem: „Niby nie ma ideałów, a jednak jestem”. – Szczerze mówiąc, sama bym takie nosiła.

– Skoro tak, to wezmę.

– Tę różową?

Ksawery potaknął.

– I jeszcze tę czarną. I może białą też. Tylko białą nieco większą, na koszulkę nocną. Pola takie lubi. I może tę zieloną, też większą.

– Czyli w sumie cztery?

– Tak. Tylko może z różnymi napisami.

– Oczywiście – powiedziała, a dostrzegłszy, że Dwornicki ukradkiem spogląda na zegarek, pospieszyła się z wyborem.

Później patrzyła, z jaką lekkością wydaje pieniądze, i trochę mu tego pozazdrościła. Ona nie mogłaby pozwolić sobie na tak duże niezaplanowane zakupy.

– Przepraszam, że nie mam papieru do pakowania, bo miałbyś już wszystko gotowe na Gwiazdkę.

– Nic nie szkodzi. Coś kupię. Dziękuję i... do widzenia. – Ksawery wziął torbę i już się odwrócił w stronę wyjścia, kiedy nagle zmienił

decyzję. – Chciałbym ci podziękować za lekcje, które twoja córka daje Poli.

Oczy Barbary zamieniły się w wąskie szparki, a wokół nich pojawiło się kilka drobnych zmarszczek. Bynajmniej nie odejmowały jej wdzięku, wręcz przeciwnie – dodawały go.

– To nie mnie dziękuj, a Lilce. Ona bardzo lubi twoją córkę. Dobrze się dogadują. Mimo różnicy wieku.

Pokiwał głową i złapał za klamkę, ale nie otworzył jeszcze drzwi. Zamiast tego zerknął na Basię i zapytał:

– A jak ty dajesz sobie radę?

Zaskoczył ją tym. Dawno nikt już jej o to nie pytał. Większość ludzi widziała w niej pogodną, zadbaną kobietę, która szybko pozbierała się po śmierci męża i doskonale odnalazła w nowym, zupełnie innym, wdowim świecie. Jakże złudne było to wrażenie!

– Dziękuję. Dobrze – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Jeśli czegoś ci brakuje, yyy... To znaczy... – Poczuł się nieswojo.

– Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc, jakkolwiek, to po prostu daj znać.

– Bardzo dużo nam pomogłeś i pomagasz. Nie mogłabym oczekiwać więcej.

Od śmierci Pawła Ksawery regularnie pomagał rodzinie Dębskich. Na początku mocno zaangażował się w zbiórkę pieniędzy na rzecz osieroconych dzieci i wdowy. Zebrane fundusze pomogły Barbarze, ale większe znaczenie miało dla niej poczucie, że nie została sama ze swoim smutkiem i cierpieniem. Ksawery przelał jej też sporą sumę na święta, ona jednak wszystko mu oddała i poprosiła, by więcej tego nie robił. Nie chciała jałmużny; знаła takich, którzy tej formy pomocy potrzebowali bardziej niż ona. Przyklasnęła jednak pomysłowi

z korepetycjami, bo wiedziała, że córka będzie szczęśliwa, mogąc dołożyć się do domowego budżetu.

– Daj spokój. To jest wyjątkowa sytuacja, a ja chętnie pomogę – rzekł łagodnie.

– Bardzo miło z twojej strony, ale... więcej nie potrzebuję.

Dwornicki pokiwał głową i wyszedł. Zamyślony, niespiesznie kroczył deptakiem aż do skrzyżowania z ulicą Słowackiego. Zapomniał nawet o spotkaniu w kancelarii, znajdującej się w bezpośrednim sąsiedztwie butiku. Zupełnie wypadło mu z głowy i teraz musiał się cofnąć. Myślał tylko o tym przedziwnym, nieplanowanym spotkaniu z Basią, kobietą, za którą kiedyś szalał.

FRYDERYK

Fryderyk Reszke lubił zimę, szczególnie taką ze śniegiem i mnóstwem wysokich zasp. Wtedy czuł się prawdziwie wolny. Żaden ciekawski turysta nie zaglądał mu wówczas przez płot ani go nie zagadywał. Nie to, co latem, gdy zjawiali się całymi grupami i zadawali pytania, na które nie miał najmniejszej chęci odpowiadać: Jak się panu tu mieszka? A telewizor pan ma? Z czego pan żyje?

Prawdą było, że Reszke stronił od ludzi. Nie miał przyjaciół, ot kilku znajomych. I choć świeradowska społeczność przywykła do niego, niektórzy nadal uważali go za dziwaka, a nawet się go bali. Przede wszystkim chodziło o wygląd, który co wrażliwszych odstraszał. Zbyt luźne ubrania, duży plecak, z którym się nie rozstawał, i opadający na czoło kapelusz. Do tego długa broda i włosy do ramion.

W Pustelni, jak nazywano jego skromną, posadowioną na wzniesieniu pośród drzew i paśników chatkę, mieszkał od ponad dwudziestu lat. Zawsze sam, jedynie z psem u boku. Najpierw Bella, potem Viki, a teraz Lotta. Zwierzęta były jego największymi przyjaciółmi. I to nie tylko te oswojone, bo dzikie, żyjące w Górach Izerskich, również. Mieszkańcy plotkowali, że Fryderyk rozumie ich język, a co złośliwsi mówili także, że sam stał się dzikim zwierzęciem i po nocach wyje do księżyca. Reszke nic sobie nie robił z tych plotek, bo tkwiło w nich ziarno prawdy. Rzeczywiście doskonale rozumiał zwierzęta, świetnie odczytywał ich głosy. Wiedział, kiedy się

niepokoiły, kiedy się adorowały i kiedy cierpiały. Tym ostatnim zawsze szedł na ratunek. Wyciągał je z pułapek i kłusowniczych sideł, niszcząc przy okazji mordercze narzędzia, tak by nigdy więcej nie zostały wykorzystane. Przed laty narobił sobie przez to sporo problemów, nieraz dostawał pogróżki, kiedyś nawet kilku drabów pobiło go do nieprzytomności. Wtedy wybuchła afera, choć mężczyzna nikogo nie oskarżył. Wszyscy jednak wiedzieli, przez kogo Fryderyk omal nie przeniósł się na tamten świat. Opryszkowie, czyli zwalisci bracia Pawłowscy, musieli się chyba przestraszyć konsekwencji, bo odpuścili „dziadowi”, jak zwykli o nim mawiać, i przenieśli się ze swoimi praktykami do sąsiednich lasów.

Po tamtym pobiciu i przymusowym kilkutygodniowym pobycie w szpitalu część świeradowskiej społeczności, tej, która na widok braci Pawłowskich schodziła z drogi, nabrała do Fryderyka szacunku i już nie patrzyła na niego z politowaniem ani przerażeniem. Mężczyzna powoli stawał się „swój”, wsiąkał w krajobraz.

Reszke był typowym samotnikiem i niczym kot chadzał własnymi ścieżkami. Niekiedy bywał w mieście, ale nie dla rozrywki czy przyjemności. Po prostu od czasu do czasu musiał robić zakupy. Zjawiał się wtedy w sklepiku pani Eli. Lubił ją, bo wiedział, że kocha zwierzęta i dba o nie najlepiej, jak potrafi.

– Niech pan nie zostawia psa na dworze – powiedziała kiedyś, gdy uwiązał Lottę przed wejściem. – Przy takiej pogodzie to nieludzkie.

– Nie chcę, żeby pani nabrudziła. Z lasu idziemy.

– A gdzie tam! – zachnęła się sklepikarka i ruchem ręki nakazała, by przyprowadził towarzyszkę.

Kiedy to zrobił, przywitała się z nią i za zgodą Fryderyka podarowała jej smakołyk.

– Jaka ona mądra – stwierdziła. – I wcale nie nabrudziła. Niech pan sam zobaczy.

Fryderyk z grzeczności rozejrzał się po podłodze.

– Pan pewnie myśli, że pies to nabrudzi bardziej niż człowiek? By się pan zdziwił! – Ela nachyliła się nad ladą. – Ci Pawłowscy, wie pan... – dodała konspiracyjnie, spoglądając na Fryderyka, ale nie wyczytawszy niczego z jego oczu, ciągnęła: – No kuzynowie tych kłusowników! No wie pan! Przecież nie mógł pan zapomnieć o tym, co panu zrobili! – zniecierpliwiła się. Fryderyk pokiwał głową, bo oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, kogo miała na myśli. – Jak oni wchodzą, to pożał się Panie Boże... – Pokręciła głową. – Człowiek boi się odezwać, ale jak kiedyś nie wytrzymam, to im powiem, żeby się myli i buty otrzepywali przed wejściem, i dzień dobry chociaż mówili. Smród, brud i zero kultury...

– Niech pani lepiej nic nie mówi – skwitował Fryderyk. – Nie warto.

– No niby tak. Od lat trzymam język za zębami. Życie mi miłe, ale niech pan wierzy, gdybym mogła – wysyczała i zacisnęła pięść – tobym im natłukła.

Fryderyk zgadzał się z nią, ale swojego zdania nie wyrażał na głos. Taki po prostu był.

KONSTANCJA

Stała przy oknie i odsunęła powłóczyste zasłony.

– No to klops! – westchnęła, widząc zasypany śniegiem ogród. – Lekarz kazał mi uważać na suchym chodniku, a tu gdzie nie spojrzeć, śnieg. Będzie ślisko.

– Na pewno odśnieżą, pani Konstancjo, więc proszę się nie obawiać – pocieszyła ją Patrycja Ogarek, która przyniosła staruszce lekarstwa i szklankę wody. – Służby bywają zaskoczone tylko pierwszego dnia, ale następnego na pewno będzie już dużo lepiej.

– Och, serdeńku! Jaka z ciebie optymistka! Aż miło posłuchać. I uczyć się!

Patrycja pokręciła głową.

– Ja to raczej nie jestem optymistką. Wszystko widzę w ciemnych barwach. Takie miałam życie, że trudno mi zachowywać optymizm.

– Aj tam! – Konstancja machnęła ręką. – Sama powiedziałaś, że miałaś. I ja wiem, że nie kłamiesz. W końcu mieszkasz tu ze mną nie od dziś. Ale co było, to było! Nie liczy się! No jasne, że pozostają wspomnienia, przeszłość nas czegoś uczy i tak dalej, i tak dalej, ale...

– Podeszła do Patrycji i złapała ją za dłoń. – Ważne, co jest teraz i co zdarzy się za chwilę. Na to masz wpływ! Jak będziesz rozmyślała o tej swojej przeszłości, to nic ci to nie da! Osiwiejesz tylko, wrzodów się nabawisz albo innych złych rzeczy. A po co? Mój mąż Ernesto

mawiał, że w życiu jest czas wyłącznie na dobre jedzenie, szeroki uśmiech i gorącą miłość. Wyłącznie na to.

– Mądre słowa, ale...

– Żadnych „ale”! Postaraj się, a zobaczysz, że w końcu poznasz, co to szczęście.

Choć Patrycja pokiwała głową, pomyślała, że prawdziwe szczęście raczej nie jest jej pisane. Córeczki dawały jej radość, kochała je nad wszystko i tej miłości była pewna. Ale od dziecka marzyła też o pełnej rodzinie i mężu, który mógłby stać się dobrym ojcem. To z kolei jej nie wyszło.

– Muszę już lecieć, pani Konstancjo – oznajmiła, spoglądając na zegarek.

– Tak, tak, serdeńku, leć. Ja dzisiaj chyba posiedzę w domu. Może coś obejrzę albo poczytam?

– To dobry pomysł. Na stoliku ma pani książki z biblioteki. Te, o które ostatnio pani prosiła.

– Ten romans z hiszpańskim torreadorem, tak? Ach! – Konstancja się ożywiła.

– Tak. Udało mi się wypożyczyć. Panie bibliotekarki odłożyły.

– One o mnie zawsze pamiętają.

Patrycja się uśmiechnęła.

– I zawsze pozdrawiają. Proszę nie zapomnieć o obiedzie. Stoi na kuchence, wystarczy odgrzać.

Patrycja wyszła, a Konstancja usiadła w fotelu i czekała. Wiedziała, że za chwilę usłyszy ożywione dyskusje dziewczynek, stukanie ich bučików, pokrzykiwania. Uwielbiała je! I odgłosy, i dziewczynki! Kiedy spędzały razem czas, niemal bez ustanku się uśmiechała, unosiła ze zdziwienia brwi, a nawet klaskała w dłonie.

Nie przestawały jej zadziwiać swoimi rezolutnymi, czasami przemądrzałymi, ale jakże słodkimi odpowiedziami.

Niekiedy przed wyjściem z domu zaglądały i do niej. I tamtego dnia tak właśnie zrobiły.

– Dzień dobry, babciu – przywitała się starsza, jak zawsze wywołując w niej wzruszenie. Nikt inny nigdy nie zwracał się do niej „babciu”. – Mamusia powiedziała, że nie śpisz, to przyszłyśmy się przywitać.

– Dzień dobry, moje kochane! – ucieszyła się. – Jak miło was spotkać o poranku! Od razu mi lepiej!

– To dobrze, babciu.

– A pewnie, że dobrze! Widziałyście, że spadł śnieg?

– No! – powiedziała młodsza, a starsza szturchnęła ją w bok.

– Nie mówi się „no” – wyszeptała – tylko „tak”! Tyle razy ci powtarzałam! – Spojrzała poważnie na Konstancję. – Musimy już iść do szkoły, ale jak wrócimy, to przyjdziemy do ciebie. Chcesz?

– Pewnie, że chcę! Zawsze możecie do mnie przychodzić.

Dziewczynki wyszły i cichutko zamknęły za sobą drzwi, a Konstancja poczuła trudne do zdefiniowania zadowolenie. „Jak dobrze, że one tu są!” – pomyślała, otuliła się kocem i przymknęła oczy.

PATRYCJA

W dorosłym życiu nigdzie nie czuła takiego spokoju jak tu, w Świeradowie-Zdroju. Miasto dawało jej tak bardzo potrzebne poczucie bezpieczeństwa, które po wielu latach strachu, jaki trzymał ją w sidłach niemal każdego dnia, było dla niej najważniejsze. Ojciec jej dzieci przybierał teraz kształt demona z przeszłości, od którego przez ostatni rok próbowała się uwolnić. Nie pomogły Niechorze, Siemiatycze ani Kędzierzyn-Koźle. Dopiero przyjazd do małej miejscowości posadowionej w dolinie rzeki Kwisy otulił Patrycję spokojem. To tu zaczęła rozumieć, czym w ogóle jest spokój, i przestała nerwowo reagować na każdy dźwięk. To tu przestała się bać bywania w miejscach publicznych, choć w każdym innym mieście ich unikała. Obawiała się, że zobaczy ją ktoś znajomy i doniesie jej byłemu o tym, gdzie mieszka, a nie po to się przed nim ukrywała, by jeszcze kiedyś się na niego natknąć. Odcięła się od wszystkiego, co dotyczyło jej dawnego życia. Z nikim z dawnych lat nie utrzymywała kontaktu, z matką miała zaledwie sporadyczny. Nie dzwoniła, nie pisała listów, starała się zostawiać jak najmniej śladów. Zmieniła nawet fryzurę i kolor włosów, bo wierzyła, że w ten sposób zapewni większe bezpieczeństwo sobie i dzieciom. Kiedy przyjechała do Świeradowa-Zdroju, strach nagle ją opuścił. Na początku tego nie rozumiała, nie wiedziała, co się dzieje. Dlaczego przestała oglądać się za siebie? Dlaczego nie budziła się w środku nocy i nie biegła do pokoju córek, aby sprawdzić, czy są bezpieczne? To miasto przyniosło

jej wytchnienie. Zresztą nie tylko jej; dziewczynki również nie były już takie nadwrażliwe jak wcześniej. Szczególnie młodsza, Kasia.

Patrycja czasami myślała, że wydarzyło się to dzięki Konstancji Potockiej, która otoczyła je przyjaznym ramieniem. Dostała od staruszki dach nad głową: dwa małe pokoje na piętrze domu, czyli znacznie więcej niż mogła oczekiwać od zupełnie obcej osoby. Czuła, że kojący spokój to także zasługa Rolanda Zarzyckiego, jej pracodawcy, który ze zrozumieniem przyjmował początkowo nerwowe zachowanie i prośby o wcześniejsze wyjście z pracy, kiedy musiała odebrać ze szkoły gorączkującą córkę albo pójść na przedstawienie do Kasinego przedszkola. No i była jeszcze Malwina Skalska, dobra dusza niechorskiego „Zakątka Nadziei”, dzięki której Patrycja znalazła się w Świeradowie-Zdroju. Ta supertrójca stworzyła dla niej przepustkę do nowego życia. I to takiego, które wypełniały nie szarości, a wszystkie kolory tęczy.

Patrycja Ogarek doceniała rytuały codziennego dnia. Poranek w domu pani Konstancji: przygotowanie śniadania, krótka rozmowa ze staruszką i zaordynowanie leków. Potem wyprawa z córkami do szkoły i droga do pracy, do „Izerskiej Szarlotki”, kawiarni przy deptaku, w której znalazła zatrudnienie, tuż przy pensjonacie Rolanda Zarzyckiego – pogodnego starszego pana, który prowadził ten przybytek od trzydziestu lat. Patrycja była kelnerką i barmanką, a czasami pomagała przy dekorowaniu ciast, również przy dostawach. Pracy było dużo, ale nigdy nie narzekała.

– Dzień dobry, panie Rolandzie! – zawołała na widok szefa, który zaaferowany sprawdzał dostawę owoców.

– Dzień dobry, Patrycjo. – Zarzycki oderwał się od przeglądania skrzynek i spojrzał na nią. – Jak zawsze punktualna! Nawet przed

czasem! Dzisiaj wyjątkowo mi to na rękę, bo muszę jechać do skarbówki. A tu coś chyba namieszali. – Wskazał na skrzynki. – Proszę, sprawdź z dokumentami, bo mi Danuśka łeb urwie. I zadzwoń z reklamacją do tego dostawcy, no...

– Macieja Jastrzębskiego? Z Rolhurtu?

– Dokładnie! – Roland się ucieszył. – Szybko się uczysz, Patrycjjo. To dobrze!

– Już się tym zajmuję.

Po chwili już wiedziała, że dokumenty mają się nijak do zawartości skrzynek. Zamiast jabłek ktoś spakował gruszki, a zamiast cytrusów – banany.

„Z tego na pewno nie powstanie ani szarlotka, ani napój imbirowo-pomarańczowy” – pomyślała, sięgając po telefon.

– Dzień dobry, dzwonię z „Izerskiej Szarlotki”. Czy rozmawiam z Maciejem Jastrzębskim? – Kiedy usłyszała potwierdzenie, kontynuowała: – Cześć – przywitała się z mężczyzną, którego często widywała w kawiarni i o którym dużo się nasłuchiwała od dziewczyn. Uprzejmy i zawsze pogodny dostawca Maciek był ich ulubieńcem. – Szef polecił, żebym do ciebie zadzwoniła, chociaż nie mam pojęcia, czy to ty robiłeś dziś dostawę, czy ktoś inny, ale... Coś tu nie gra z zamówieniem. Niektóre skrzynki się nie zgadzają i... – Patrycja urwała, słuchając wyjaśnień. – Naprawdę? To super. Czekam w takim razie... Dobrze, oczywiście.

Maciej Jastrzębski zjawiał się błyskawicznie, jakby czekał gdzieś za rogiem, spodziewając się telefonu. Patrycja nie zdążyła przywitać się z koleżankami, kiedy dojrzała samochód dostawczy. Pospiesznie wyszła na podwórze.

– Przepraszam za kłopot – powiedział na wstępie. – Takie pomyłki raczej nam się nie zdarzają.

Skinęła głową, bo rzeczywiście miał rację. Odkąd pracowała u pana Rolanda, przytrafiło się to pierwszy raz.

– Nic się nie stało. Ważne, że to tylko pomyłka, bo... – Uśmiechnęła się, a mężczyzna odwzajemnił jej uśmiech. – Z gruszek pożytku by dziś nie było.

Jastrzębski wystawił właściwe skrzynki i zabrał te dostarczone omyłkowo. Patrycja podeszła do jednej z nich i już chciała ją podnieść, kiedy ją uprzedził.

– Zaniosę, gdzie trzeba. W ramach przeprosin. – Mówiąc to, stanął bardzo blisko niej.

Za blisko. Patrycja spojrzała w jego niebieskie oczy. Były takie łagodne i pocziwe, zupełnie inne od drapieżnych oczu byłego męża, które były chłodem, złością lub zwierzęcym pożądaniem.

– Dobrze – zgodziła się pospiesznie. – Pani Danusia już czeka, bo to oczywiście na szarlotkę.

– O! Uwielbiam szarlotkę, zwłaszcza taką z cynamonem. Może mógłbym się wprosić na kawałek?

– Do kawiarni każdy może. Zapraszam.

– Z chęcią przyjdę. A do której godziny pracujesz?

– Ja?

Pokiwał głową.

– Sam nie chciałbym jeść, ale z tobą? – rzekł szarmancko.

– Nie jadam szarlotki.

– Więc może inne ciasto? Albo chociaż pijasz kawę?

Wyraz twarzy Patrycji nagle się zmienił. Słowa Maćka ją przeraziły. Nie żeby miała się obrazić, o nie! Chłopak był miły, uprzejmy, ale na samą myśl o wypiciu kawy w towarzystwie mężczyzny poczuła suchość w gardle. Ze strachu. Nie była gotowa na coś takiego i nie sądziła, że w ogóle kiedykolwiek może być.

– Nie, dziękuję.

Błyskawicznie się zreflektował.

– Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak jakiś tani podryw.

– Ale zabrzmiało – odważyła się, a kącik jej ust lekko drgnął. – Nie w głowie mi randki. Przykro mi.

– Nie miałem na myśli niczego więcej poza wspólną kawą. Sorry.

– Nic się nie stało. A z tamtymi skrzynkami... poradzę sobie sama.

– Mowy nie ma. Obiecałem, to przyniosę i... zniknę.

Patrycja udała nagle zainteresowanie jabłkami. Kiedy Maciej ruszył do auta po dostawę, odprowadziła go wzrokiem i cicho odetchnęła. Już jakiś czas temu zwróciła na niego uwagę. Kiedy przyjeżdżał z dostawami, zawsze był miły i uprzejmy. Taki normalny. I patrzył na nią zupełnie inaczej niż na szefa, panią Danusię czy pozostałe dziewczyny, nawet jej rówieśniczki. Tak właściwie szukał jej wzroku. Takie odniosła wrażenie. Zagadywał, ale nienachalnie. Schlebiał jej to – i jednocześnie napawało obawą. Nie miała dobrych doświadczeń z mężczyznami. Nigdy.

– To już ostatnia skrzynka. – Maciek wyrwał ją z zamyślenia.

– Dziękuję, jesteś bardzo miły. – Zawahała się, po czym spojrzała mu prosto w oczy. – Przepraszam za moją reakcję. Nie chciałam, żeby to tak głupio zabrzmiało, ale ja... po prostu nie... Nie mogę.

– Rozumiem, jak najbardziej. Pomyślałem sobie... W Świeradowie jesteś nowa i może brakuje ci znajomych? Od kilku miesięcy mijamy się w kawiarni, ale zamieniliśmy raptem parę zdań, więc... – zająknął się i wtedy Patrycja dostrzegła w jego oczach coś takiego szczerego i ujmującego, że nagle w jednej chwili odważyła się zmienić zdanie.

– Masz rację. Czasami warto z kimś porozmawiać. Jestem w pracy do siedemnastej.

Zaskoczyła go.

– Super! Przyjadę na szarlotkę. Odlóż mi kawałek, bo do popołudnia to pewnie ją wykupią.

– Będzie czekała.

Poszła z nim do drzwi, a kiedy je zamknęła, ukryła twarz w dłoniach i zaśmiała się. Zza zasłony obawy i lęku przebijała przedziwna lekkość. Od dawna, bardzo dawna jej nie czuła.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza. Niemal cztery tygodnie do Wigilii

Lila

Domicela

Ksawery

Fryderyk

Konstancja

Patrycja